



JULIUSZ GOŁĘBIOWSKI

Warszawa, 13 grudnia 1945 r. Sędzia śledczy Alicja Germasz przesłuchiwała niżej wymienionego w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o znaczeniu przysięgi, sędzia odebrała od niego przysięgę, po czym świadek zeznał, co następuje:

| | |
|----------------------|----------------------------------|
| Imię i nazwisko | Juliusz Gołębiowski |
| Wiek | 34 lata |
| Imiona rodziców | Mieczysław i Józefa |
| Miejsce zamieszkania | Pustelnik, garbarnia Lipowskiego |
| Zajęcie | garbarz |
| Wyznanie | rzymskokatolickie |
| Karalność | niekarany |

W czasie powstania w Warszawie po opuszczeniu domu, w którym mieszkałem przy ul. Ogrodowej 30, znalazłem się w schronie Ministerstwa Przemysłu i Handlu przy ul. Elektoralnej. Było to 7 sierpnia 1944 roku. W schronie tym znajdowało się kilkaset osób, przeważnie kobiet i dzieci. Po południu tego dnia, po wycofaniu się powstańców z ul. Elektoralnej, przed bramą ministerstwa został ustawiony posterunek niemiecki – jeden żołnierz. Żołnierz ten zapewniał nas, że nic złego nam się nie stanie. Około godziny 9.00 wieczorem weszło do schronu dwóch żandarmów i kazali wszystkim mężczyznom wyjść. Żołnierz stojący uprzednio zapewniał nas, że idziemy tylko na roboty. Zaprowadzono nas trójkami (było nas około 150) na plac Mirowski między budynki dwóch hal. Tu kazano nam uprzątać trupy leżące na ziemi w ilości kilkudziesięciu, a potem gruz z jezdni i chodników. W momencie, kiedy przyszliśmy, na placu tym znajdowało się kilkuset Polaków, wszyscy zajęci przy uprzątkaniu placu oraz kilkuset żandarmów niemieckich. Zachowywali się oni

bardzo brutalnie, bili nas, kopali, padały słowa *Polnische banditen*. W pewnym momencie przerwali nam pracę i kazali się zgłosić tym, którzy nie są Polakami. Wystąpił mężczyzna, który miał dokumenty białoruskie (znałem go osobiście jako ewakuowanego z Baranowicz) – został on natychmiast zwolniony.

Po półtoragodzinnej pracy żandarmi zaczęli ustawiać nas trójkami, ja znalazłem się w drugiej. Wszyscy musieliśmy stać z podniesionymi do góry rękoma. Staruszek, który stał w pierwszej trójce, nie mógł utrzymać podniesionych rąk – został mocno zbity po twarzy przez żandarma. Po dziesięciu minutach odliczono pięć trójek i pod eskortą pięciu żandarmów z rozpylaczami zaprowadzono nas do budynku hali od strony ul. Chłodnej. Przypadkowo usłyszałem nazwiska dwóch żandarmów, którzy nazywali się Lipiński i Walter.

Gdy weszliśmy do budynku, po przejściu dwóch bram zobaczyłem mniej więcej w środku hali głęboki lej, w którym palił się ogień. Wyglądał on na sztucznie podsycany ze względu na olbrzymie czarne kłęby dymu.

(Świadek na okazanym mu szkicu sytuacyjnym wskazuje na miejsce numerowane cyfrą 6).

Ustawiono nas przy ścianie po lewej stronie od wejścia, koło ubikacji (świadek stwierdza, że na okazanym mu planie ubikacja jest błędnie oznaczona cyfrą 3, ubikacja ta znajdowała się przy ścianie poprzecznej od wejścia do budynku), stanęliśmy pojedynczo, twarzami zwróceni do ściany, z podniesionymi rękami. Po paru minutach usłyszałem salwę z tyłu i padłem na ziemię. Leżąc na ziemi, słyszałem jęki i rzężenie leżących koło mnie oraz dalsze salwy.

Po ucichnięciu salw słyszałem, że żandarmi liczą leżących na ziemi. Doliczyli się tylko 13. Wtedy zaczęli szukać dwóch brakujących. Znaleźli ukrytych ojca i syna (przyszli oni wraz ze mną z ul. Elektoralnej, nazwisk ich nie znam) w ubikacji, koło której byliśmy ustawieni. Wyprowadzili ich, usłyszałem wtedy okrzyk chłopca: „Niech żyje Polska”, potem salwę i jęki. Po jakimś czasie usłyszałem głosy zbliżających się Polaków, podniosłem ostrożnie głowę i zobaczyłem żandarmów stojących koło leja z ogniem i Polaków przenoszących ciała zabitych i wrzucających je do ognia. Zabierali kolejno ciała, zbliżając się do mnie. Ja wtedy przedostałem się do ubikacji i tam ukryłem się na przepierzeniu stanowiącym dach ubikacji. Tam siedząc, słyszałem dalsze salwy i krzyki Niemców dochodzące od strony leja.

W pewnej chwili znalazł się koło mnie na przepierzeniu jeszcze jeden Polak, który uciekł z domu przez ubikację. Był to lekarz, dr Jerzy Łahota, laryngolog, zamieszkały wówczas przy

ul. Chłodnej i pracujący w klinice Dzieciątka Jezus. Siedzieliśmy na górze parę godzin. Przez cały czas słyszeliśmy z dołu odgłosy palenia ciał, szum, syk ognia. Dr Łahota przy pewnych charakterystycznych odgłosach mówił mi, że to mózg ludzki się pali. Poza tym słyszeliśmy odgłosy salw dochodzących z drugiej hali (bliżej ul. Zimnej).

Dr Łahota opowiadał mi, że po salwie, gdy padł na ziemię ze wszystkimi, żandarmi sprawdzali, czy żyje i bardzo brutalnie go pobili przy tym, udał jednak zabitego.

Podaję, że gdy i ja padłem na ziemię po salwie, widziałem, jak żandarmi kolejno sprawdzali leżących na ziemi i ruszających się dobijali wystrzałami. Ja zdołałem przedtem uciec.

Około godz. 2.00 w nocy zeszliśmy na dół i przez pustą już halę, w której palił się tylko ogień, wyszliśmy na ulicę i przedostaliśmy się na ul. Krochmalną.

Odczytano.